

NA POCZĄTEK O KOŃCU GATUNKÓW

Przyrodnicy, znajdując żyjątko, mówią, że jest to „egzemplarz gatunku”. Gdy odnajdują żyjątko zupełnie nie znane, które nie wiadomo jak zaklasyfikować, dodają, że jest to egzemplarz gatunku jeszcze „nie znanego”. Ten jedyny egzemplarz będzie więc zawsze genologicznym śladem, informacją, dowodem na istnienie gatunku, choćby nikt nigdy nie trafił na jego kolejne egzemplarze. Natura nie zna pojedynczego egzemplarza istniejącego poza gatunkiem. Miarą doskonałości gatunkowej jest więc liczba mnoga. W kulturze bardziej ceni się pojedynczość.

Dla przyrodnika gatunki są lepiej lub gorzej przystosowane do swoich życiowych funkcji i warunków, są słabsze lub silniejsze, mniej lub bardziej skomplikowane pod względem budowy. Normą jest gatunkowy wzór a nie krzyżówki, mutacje i hybrydy, i choć takie się zdarzają, to jednak mieszanie się gatunków nie jest w naturze zjawiskiem naturalnym oraz, co ważniejsze, nieograniczonym. Można oczywiście skrzyżować psa z wilkiem, jabłko z gruszką czy konia z osłem, pewne trudności mogą się jednak pojawić przy krzyżowaniu słonia z jaszczurką, karpia z kukułką, czy konia z kolibrem lub wszystkiego razem - choć, oczywiście, genetycy nie z takimi problemami potrafią już sobie poradzić.

Czemu ta natura tak nieskłonna do wynaturzeń? Oczywiście, z powodów życiowych - egzemplarze tego samego gatunku są potrzebne temuż gatunkowi do rozmnażania się, czyli przekazywania genów. Tu kultura (współczesna) dość daleko odeszła od natury. **W kulturze gatunki, żeby żyć, muszą się zdrowo wynaturzyć.**

Wzorce myślenia naturalistycznego istniały w literackich dyskursach genologicznych dość długo, tu i ówdzie jeszcze można je odnaleźć, dziś mamy już jednak zupełnie inne kłopoty. W literackich teoriach genologicznych przekonanie, że egzemplarz jest (i powinien być) wypełnieniem i powtórzeniem wzorca, rozpadł się ostatecznie w romantyzmie. Mogłoby się wydawać, że romantyczna świadomość genologiczna czyniąca z hybrydyzacji i niestosowności wobec kanonów normę estetyczną, patronuje genologicznemu permissywizmowi ponowoczesności. A kuku!

Romantyczna "genologia" była oparta na kryterium oryginalności i niepowtarzalności, toteż kompletnie zawodzi w konfrontacji ze kulturą współczesną. W dyskursach teoretycznych celebryje się dziś "powtarzalność", "kliszę" i niechęć do nowatorstwa, a w dyskursach

popularnych - wszelkiego typu standaryzację gatunkową, która stała się warunkiem uczestnictwa i komunikacji w kulturze masowej. Równocześnie jednak powtórzenie wzorca stało się w wielu sytuacjach sztuką - wyznacznikiem kompetencji i najwyższych umiejętności literackich. Napisanie sonetu, limeryku, gazeli, oktostychu czy kasydy nie każdemu jest pisane. Wbrew pozorom, poruszanie się w multimedialnych przekazach współczesnej kultury wymaga wyjątkowo dobrej orientacji genologicznej.

Jak to pogodzić z potocznym dziś przekonaniem o bezużyteczności genologicznych taksonomii spowodowanej marzeniem pisarzy (szczególnie poetów) o jednorazowej gatunkowości wielu tekstów oraz gruntownym przemieszaniem wszystkich gatunków? Czy możliwa jest sytuacja pojawienia się tekstu bezgatunkowego, nie będącego ani realizacją, ani aktualizacją, ani hybrydą, ani nawet krytyką istniejących gatunków - po prostu będącego tekstem, który przybywa z genologicznej próżni i który nie ma w sobie cech pozwalających czytelnikowi na jakąkolwiek gatunkową identyfikację?

Pytanie jest retoryczne, bo współczesna kultura dostarcza nam wielu przykładów, w których tekst na pozór bezgatunkowy krystalizuje się wokół wyrazistych, choć zupełnie nietypowych wyróżników, będących jego własnymi wyznacznikami genologicznymi. Przykładami mogą być tematy, sytuacje, zachowania werbalne i niewerbalne. Odnaleźć tę **inną genologię** można choćby w koncepcjach Bachtina czy Austina - w dwóch najsłynniejszych teoriach sprawczej siły "gatunków" mowy współkonstruowanych przez społeczne sytuacje komunikacyjne. Z podobnych elementów, spoza tradycyjnej genologii, stworzył swą niepowtarzalną galerię gatunków **Białoszewski**: wszystkie te "faramuszki", "wyrwy z pamięci", "fatygi", "zlepy", "zanoty", czy "szumy". Warunkiem tak rozumianej genologii są, jak wiadomo, serie utworów czyli "ciągi" - dalsze.

Jeśli źródłem gatunku może być temat, to oczywiście może być nim także płeć. Płeć to także temat „ciągu”, a nawet „pociągu” - nic dziwnego, że genologia feministyczna pokazuje nam życie w gatunkach od nieznannej strony. To, że płeć może modyfikować gatunki jest odkryciem w genologii nowym, a przez to rozpoznawalnym na razie dla czytelników zainteresowanych.

Wyznacznikami nowej genologii stają się więc czynniki i zjawiska nigdy dotąd tak wyraźnie przez genologię nie uwzględniane: media i sytuacje komunikacyjne, płeć, ponadgatunkowe typy dyskursów należących do różnych systemów semiotycznych, tematy,

wzorce publicznego mówienia, etc. Pisarz, choćby opisywał sytuację jedyną i неповtarzalną, w jedyny i неповtarzalny sposób, zawsze ją uniwersalizuje i zawsze, choćby przez zaprzeczenie, odwołuje się do jakiegoś wzorca mowy - właśnie dlatego, że pisze.

Genologia literacka wpisana jest więc zawsze w pisanie, w akty publicznego używania (sobie) języka. Nie można jednak pisać, nie czytając, choćby własnego tekstu. Ale czy możliwa jest lektura tekstu dokonywana poza wszelkimi kategoriami gatunkowymi? Również i to pytanie jest retoryczne. Wszak czytelnik zawsze wnosi do lektury każdego tekstu własną wiedzę taksonomiczną. Trafne czy nietrafne, świadome czy nieświadome presupozycje i rozpoznania genologiczne czytelnika tworzą filtr, dzięki któremu ciąg znaków jest czytany, a nie, na przykład, lizany, jest rozumiany jako literatura, a nie jako instrukcja obsługi jakiegoś urządzenia.

W rozważaniach o nieistnieniu i nieistotności gatunków, a w konsekwencji o zbędności genologii we współczesnej kulturze, tyleż jest diagnostycznej trafności, w co twierdzeniu, że skoro na jezdni nie widać żadnych znaków i pędzą po niej bardzo różne pojazdy, to kodeks drogowy nie istnieje.

Włodzimierz Bolecki